

Laura Bellini

# Przyptyw nie zabiera wszystkiego

Morze oddało dowód. On wrócił po  
drugą szansę.



# Przypływ nie zabiera wszystkiego

Morze oddało dowód. On wrócił po drugą  
szansę.

Laura Bellini

ROMANS

# SPIS TREŚCI

|                                                       |     |
|-------------------------------------------------------|-----|
| INTRO .....                                           | 4   |
| Rozdział 1 - To, co miało zniknąć .....               | 11  |
| Rozdział 2 - Warunki współpracy .....                 | 27  |
| Rozdział 3 - Miejsce, którego miało nie być .....     | 49  |
| Rozdział 4 - Rzeczy przechowane zbyt długo .....      | 65  |
| Rozdział 5 - Prawda w kilku wersjach .....            | 87  |
| Rozdział 6 - Granica, której nie było na mapie .....  | 102 |
| Rozdział 7 - Zdjęcia, których nie powinno być .....   | 122 |
| Rozdział 8 - Druga połowa .....                       | 135 |
| Rozdział 9 - To, co zostało pod wodą .....            | 154 |
| Rozdział 10 - Cena milczenia .....                    | 169 |
| Rozdział 11 - List, który czekał piętnaście lat ..... | 188 |
| Rozdział 12 - Archiwum 4B .....                       | 203 |
| Rozdział 13 - Głos z tamtego dnia .....               | 220 |
| Rozdział 14 - Rzeczy, których nie da się cofnąć ..... | 236 |
| Rozdział 15 - To, czego nie mógł wiedzieć .....       | 257 |
| Rozdział 16 - Kiedy ochrona staje się kłamstwem ..... | 274 |
| Rozdział 17 - Notes Romana .....                      | 297 |
| Rozdział 18 - Koszt prawdy .....                      | 312 |
| Rozdział 19 - Prawda bez bohaterów .....              | 328 |
| Rozdział 20 - Przyptyw nie zabiera wszystkiego .....  | 344 |

# INTRO

Morze po nocnym sztormie zawsze wyglądało niewinnie. Jak człowiek, który poprzedniego wieczoru rozbił komuś życie, a rano przyszedł w czystej koszuli i zapytał, czy może w czymś pomóc.

Stałam na mokrym piasku kilkaset metrów od portu w Kuźnicy i patrzyłam na linię wyrzuconych przez wodę gałęzi, plastikowych butelek, kawałków sieci i ciemnych wodorostów. Wiatr wciąż był za silny jak na początek października, ale niebo rozjaśniało się od zachodu. Za plecami słyszałam metaliczne stukanie masztów w marinie. Przede mną fale pracowały spokojniej, jakby nocne szaleństwo naprawdę nie miało z nimi nic wspólnego.

Powinnam była wrócić do pracowni.

O dziewiątej czekała mnie rozmowa z konserwatorem wojewódzkim dotycząca finansowania wystawy, nad którą pracowałam od prawie roku. O jedenastej miał przyjechać transport drewnianych elementów starej łodzi rybackiej wydobytej podczas pogłębiania portu. Miałam czterdzieści minut na prysznic, kawę i udawanie osoby, która prowadzi małe muzeum morskie, panuje nad budżetem i nie zaczyna dnia od grzebania w tym, co Bałtyk wyrzucił na plażę.

A jednak szłam dalej.

Po sztormach robiłam to od dziecka. Najpierw z ojcem, później sama. Ojciec twierdził, że morze nie oddaje rzeczy przypadkiem. Ja, jako dorosła kobieta z dyplomem konserwatorki i zdecydowanie mniejszą skłonnością do romantycznych teorii, uważałam, że prądy, wiatr i wyporność są wystarczającym wyjaśnieniem.

Mimo to zawsze patrzyłam pod nogi.

Pochyliłam się po fragment zielonego szkła wygładzonego przez wodę. Obróciłam go w palcach i wrzuciłam do kieszeni kurtki. Na warsztatach dla dzieci zrobi z niego część mozaiki. Kolejne kilka metrów dalej znalazłam pęknięty spławik, potem plastikową skrzynkę z duńskim napisem.

Dopiero przy resztkach starej sieci zobaczyłam metal.

Nie był błyszczący. Prawie zlewał się z mokrym piaskiem. Wystawał spomiędzy splątanych linek zaledwie na kilka centymetrów.

Pociągnęłam.

Siec puściła z oporem, odstaniając niewielką, prostokątną blaszkę połączoną z mocno skorodowanym kółkiem. Stałam z niej piasek rękawiczką.

I przestałam słyszeć morze.

Na metalu wciąż dało się odczytać trzy cyfry.

214.

Niżej znajdowały się dwie litery.

MR.

Znałam ten przedmiot.

Nie podobny.

Ten.

Piętnaście lat wcześniej takie blaszki wisały przy kluczach do szafek w starej bazie nurkowej mojego ojca. Numery wybijał ręcznie, trochę krzywo, na kawałkach aluminium kupowanych w sklepie żeglarskim we Władysławowie. Litery MR oznaczały Morską Rafę - nazwę firmy, którą prowadził wspólnie z Romanem Krawcem.

Firma przestała istnieć po wypadku.

Roman Krawiec zginął.

Jego syn został uznany przez połowę półwyspu za człowieka, który powinien być temu zapobiec.

A ja przez sześć lat kochałam tego syna bardziej, niż rozsądek kiedykolwiek powinien pozwolić.

Ścisnęłam blaszkę mocniej.

- Ada?

Odwróciłam się gwałtownie.

Kilka metrów dalej stał pan Leon, emerytowany rybak, który każdego ranka spacerował po plaży z żółtym wiadrzem i zbierał bursztyn, choć przez ostatnich dwadzieścia lat znalazł go podobno mniej niż przeciętny turysta podczas jednego weekendu.

- Wszystko dobrze?

- Tak.

Głos zabrzmiał zbyt szybko.

Schowałam blaszkę w dłoń.

- Znalazłam tylko kawałek złomu.

Leon spojrzał na mnie, potem na zaciśnięte palce, ale nie zapytał. Na półwyspie ludzie potrafili nie zadawać pytań z takim samym profesjonalizmem, z jakim gdzie indziej je zadawano.

- Po takim sztormie jeszcze długo będzie wyrzucało różne rzeczy - powiedział.

- Pewnie tak.

Ruszył dalej.

Ja zostałam.

Szafka numer 214 należała do Romana.

Wiedziałam to, ponieważ klucz znaleziono po jego śmierci w pudełku z rzeczami osobistymi. Pamiętałam nawet chwilę, w której ojciec wyjął go z foliowej koperty przekazanej przez policję.

Problem polegał na tym, że ta blaszka nie powinna znajdować się na plaży.

Klucz z numerem 214 przez lata leżał w szufladzie biurka mojego ojca.

A przynajmniej tak sądziłam.

Wyciągnęłam telefon.

Przez kilka sekund patrzyłam na nazwisko ojca w kontaktach. Mogłam zadzwonić. Zapytać. Usłyszeć, że czegoś nie pamiętał albo że numerów było więcej. Mogłam pozwolić, żeby jedno logiczne zdanie zamknęło sprawę.

Zamiast tego zrobiłam zdjęcie.

Potem drugie.

Odwrociłam blaszkę.

Na odwrocie zobaczyłam rysę.

Nie, nie rysę.

Wyryty znak.

Małą literę K.

Poczułam chłód, który nie miał nic wspólnego z wiatrem.

Maks robił tak ze wszystkim, co należało do niego albo przez niego zostało naprawione. K na spodzie skrzynki z narzędziami. K na obudowie aparatu do nurkowania. K na metalowym kubku, z którego pił kawę w bazie. K na breloku, który kiedyś dał mnie.

Roman nie oznaczał przedmiotów w ten sposób.

Maks tak.

Za plecami rozległ się dźwięk samochodu zatrzymującego się przy zejściu na plażę.

Nie zwróciłabym na niego uwagi, gdyby chwilę później nie trzasnęły drzwi.

Odwrociłam się.

Najpierw zobaczyłam granatową terenówkę.

Potem mężczyznę idącego w moją stronę.

Przez pięć lat wyobrażałam sobie czasem nasze następne spotkanie. W żadnej wersji nie miałam mokrych włosów, zabłoconych butów i starej sztormowej kurtki ojca. W większości tych scen byłam obojętna. Spokojna. Uprzejma w sposób, który jasno mówi, że to, co kiedyś między nami było, dawno przestało mieć znaczenie.

Rzeczywistość nie miała dla moich planów żadnego szacunku.

Maks Krawiec zatrzymał się kilka kroków ode mnie.

Był starszy, oczywiście. Szerszy w ramionach, bardziej zmęczony wokół oczu. Krócej ostrzyżony. Miał kilkudniowy zarost i tę samą niewygodną dla mnie umiejętność patrzenia tak, jakby podczas rozmowy interesowała go wyłącznie osoba stojąca przed nim.

Przez moment żadne z nas się nie odezwało.

Potem jego wzrok zsunął się na moją zaciśniętą dłoń.

- Co znalazłaś?

Nie powiedział: cześć.

Nie zapytał, jak się mam.

Po pięciu latach zaczął dokładnie tam, gdzie wszystko się skończyło - od rzeczy, których mi nie powiedział.

Rozprostowałam palce.

Blaszka leżała na mojej dłoni.

Twarz Maksa zmieniła się natychmiast.

Nie musiałam pytać, czy ją poznaje.

- Skąd to masz? - zapytał cicho.

- Morze oddało.

Zrobił krok w moją stronę i zatrzymał się, zanim znalazł się zbyt blisko. Dawniej nie musiał uważać na takie odległości.

- Ada, posłuchaj mnie.

Zaśmiałam się bez humoru.

- Pięć lat temu też miałam cię posłuchać.

- Wiem.

- Nie, Maks. Właśnie w tym problem. Ty nigdy nie wiedziałeś, co ja wiem.

Spojrzałam na literę K.

Potem na niego.

- Dlaczego twój znak jest na kluczu twojego ojca?

Nie odpowiedział.

I ta sekunda milczenia wystarczyła.

Nie dlatego, że zdradziła mi prawdę.

Dlatego, że udowodniła, iż prawda istnieje.

Fala rozbiła się za moimi plecami i podeszła tak wysoko, że woda dotknęła czubków moich butów.

Maks patrzył na blaszkę, jakby właśnie zobaczył coś, czego obawiał się od lat.

- Myślałem, że to zniknęło - powiedział.

# Rozdział 1 - To, co miało zniknąć

- Myślałem, że to zniknęło - powiedział Maks.

Przez kilka sekund patrzyłam na niego, czekając na ciąg dalszy. Nie nadszedł. Zamiast odpowiedzi dostałam ten sam rodzaj milczenia, który pamiętałam aż za dobrze: krótkie napięcie szczęki, wzrok uciekający na sekundę w bok i powrót do mnie, jakby w tej jednej sekundzie zdążył ocenić wszystkie możliwe wersje prawdy i wybrać tę, która jego zdaniem wyrządzi najmniej szkód.

Kiedys uważałam tę cechę za opanowanie.

Potem zrozumiałam, że Maks potrafił milczeć z bardzo wielu powodów, a ja nigdy nie wiedziałam, który z nich właśnie obowiązywał.

- Co dokładnie miało zniknąć? - zapytałam.

Wiatr wcisnął mi pasmo włosów w usta. Odsunęłam je, nie spuszczaając z niego wzroku.

Maks spojrzał na blaszkę z numerem 214.

- Ten znacznik.

- Znacznik? Przed chwilą wyglądałeś, jakby morze wyrzuciło na brzeg ludzką rękę.

- Bo wiem, skąd pochodzi.

- Ja też.

- Nie wszystko.

Prawie się uśmiechnęłam. Nie dlatego, że było mi do śmiechu. To zdanie było tak bardzo w jego stylu, że przez sekundę poczułam się, jakby pięć lat nie istniało.